

Pierwsze Spotkanie Towarzystwa Urbanistów Polskich na Forum Kultury Przestrzeni 1 czerwca 2007 roku

Spotkanie z udziałem wiceprezydenta miasta Stanisława Fica i pani Elżbiety Mącik, dyrektor Wydziału Strategii i Planowania UM.

Moderator: Romuald Dylewski – Towarzystwo Urbanistów Polskich; Marcin Skrzypek – Forum Kultury Przestrzeni, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Marcin Skrzypek: Witam serdecznie wszystkich gości. Tu zostały przygotowane miejsca dla ekspertów, dlatego bardzo proszę osoby uznające się za specjalistów w dziedzinie Kultury Przestrzeni o zajęcie tych foteli. Jeśli pozostaną one dziś puste, to będzie to dość wymowne i symboliczne...

Założenie tego, nieformalnego w gruncie rzeczy, spotkania jest takie, aby zaprosić do rozmowy, na zebranie Lubelskiego Oddziału Towarzystwa Urbanistów Polskich ludzi z zewnątrz, żeby odbyło się przy drzwiach otwartych.

Jeśli chodzi o merytorykę, to oddaję głos panu Romualdowi Dylewskiemu, sprawcy i Forum Kultury Przestrzeni, i tego spotkania.

Romuald Dylewski: Witam wszystkich serdecznie. Chciałbym zauważyć, że zarysowuje się już pewna tradycja: zebrania TUP-u odbywają się w oparciu o jakiś zewnętrzny, aktualny problem danego oddziału. Takie spotkania odbywały się m. in. w Białej Podlaskiej, Biłgoraju, dziś kolejne zebranie, dotyczące może najtrudniejszego tematu: Przestrzeń Publiczna Miasta Lublina jako wyraz jakości kultury i środowiska miasta.

Poproszono mnie o wprowadzenie do dyskusji. Temat dotyczy problemu na którym skupiają się obecnie eksperci Unii Europejskiej oraz nasi polscy specjaliści. Zaczniemy od krótkiej refleksji politycznej. O ile w czasach PRL-u nie można było mówić o dobru prywatnym, o przestrzeni prywatnej, o tyle w latach 90., w okresie transformacji ustrojowej zdaje się, że wszystko co ważne jest prywatne. Dobro publiczne, przestrzeń publiczna zostały zamazane jako pojęcia. Żeby mówić o przestrzeni publicznej Lublina dziś, w roku 2007, musimy wyjaśnić czym ona jest, co oznacza „przestrzeń publiczna” we współczesnym mieście, na ile jest potrzebna mieszkańcom i jak ją kształtować. Aby udzielić odpowiedzi na te niełatwe pytania, spójrzmy na problem z perspektywy historycznej. Bo sprawa ta ma korzenie w szerszym kontekście cywilizacyjnym, a nie tylko doraźnym ustrojowym czy politycznym. Gdy patrzymy na plany miasta od ich najwcześniejszych przykładów, niemal od neolitu aż po wiek XIX, stwierdzamy, że ich struktura była wyraźnie podzielona na przestrzeń prywatną: domy, budynki mieszkalne i przestrzeń publiczną: place, ulice, przestrzenie przybramne. Później, gdy miasta wyszły poza granice murów – XVII, XVIII w. – taką przestrzenią stały się również zieleńce, ogrody, parki. Istotą przestrzeni publicznej miasta tradycyjnego jest jednak plac. W okresie starożytności place rozwijały się w sposób szczególnie finezyjny: Agora w Grecji czy Forum w Rzymie. To tu było sedno miejskości i kulminacja życia ówczesnych wspólnot. Plac pełnił funkcje reprezentacyjne, odświętne, ale i codzienne; funkcje kulturowe, społeczne, często sakralne, na ogół – choć nie zawsze – handlowe. Można powiedzieć, że plac był sercem miasta, wokół którego ono się rozwijało i bez którego nie mogło istnieć. Niezależnie od tego czy było to miasto bliskowschodnie, chińskie, europejskie czy azteckie – bez placu nie było miastem.

Tradycja ta licząca tysiące lat, przez tysiące lat dojrzewająca, a więc tradycja niezwykle dojrzała,

załamała się w XIX w. Miasta zaczęły się żywiołowo rozlewać: stare, tradycyjne jądra miast, wraz z ich placami i niezmiernymi walorami kultury były na ogół zachowywane, ale i marginalizowane na rzecz dynamicznie rozwijającej się nowej tkanki miejskiej zaspakajającej przede wszystkim elementarne potrzeby: pracy i mieszkania mas mieszkańców. O ich potrzebach wyższych jakościowo nie myślano. Przestrzenią publiczną pozostawały tylko działki jeszcze niezabudowane, stające się często śmietnikami oraz ulice dojazdowe, z których pojazdy coraz częściej wypychały pieszych na obrzeża. Ulice były napelnione hałasem, spalinami, a nie kulturą. O nowych placach nikt nie myślał. W tym pionierskim okresie współczesnego miasta nie myślano także o potrzebie kontaktu mieszkańca z zielenią, naturą. Ten brak szybko dostrzeżono i na przełomie XIX i XX w. pojawiła się idea miasta-ogrodu, choć wprowadzana w życie tylko częściowo.

Długo nie zauważano znaczenia otwartej, kulturowej przestrzeni publicznej. Dostrzeżono ją bardzo niedawno, w naszych czasach. Gdy mieszkańcy zaczęli masowo uciekać z miast, które nie spełniały ich rosnących jakościowo potrzeb, w tym potrzeby odpowiednio dojrzałej kultury przestrzeni – to nie było artykułowane, ale takie właśnie były motywy. Uciekali na coraz odleglejsze peryferia, szukając bardziej ludzkiego środowiska w bliskim sąsiedztwie przestrzeni otwartej, natury. Jednocześnie w opuszczanych miastach coraz bardziej pociągały ludzi place staromiejskie, które jeszcze przetrwały, czy nowe deptaki, pasaże i ich kultura. Przykłady: pełne życia place Paryża, Brukseli, Londynu, ale także Krakowa, Wrocławia, Gdańska, Lublina czy Kazimierza. Wyrazem narastającej reakcji społecznej w krajach cywilizacyjnie dojrzałych jest poszukiwanie środowiska miasta bardziej przyjaznego człowiekowi; miasta nie tylko historycznie rewitalizowanego, ale także nowoczesnego, spełniającego potrzeby coraz bardziej wymagającego społeczeństwa. W UE, a także w USA mówi się o potrzebie tworzenia renesansu miasta współczesnego. Ów renesans to przede wszystkim miasta bliższe natury, zieleni, również bliższe kultury – kultury przestrzeni publicznej. W myśl dokumentów unijnych ma się to wyrażać w kształtowaniu przestrzeni miasta, a zarazem w przywracaniu przestrzeni miejskiej pieszemu, którego wyparł samochód. Oznacza to tworzenie atrakcyjnych, przyciągających mieszkańców przestrzeni ruchu pieszego, jako ognisk kulminacji życia miejskiego: placów (także nowych) i pasaży. Jedynie taki, oparty na zbliżeniu do natury i kultury przestrzeni renesans miasta współczesnego, zdaniem ekspertów unijnych, może oprzeć się narastającym patologiom urbanizacji i odwrócić trend degradacji miast. Jest to bardzo znamienne. Jest to również renesans placu miejskiego i miejskiej uliczki pieszej. Renesans tradycyjnego modelu miasta.

Mówi się o tym, że współczesne wielkie miasto powinno mieć strukturę zespołu miasteczek. A jak ta sprawa wygląda w Polsce? Na przestrzeń publiczną nie ma zwykle pieniędzy i „szkoda na nią terenu”. Mimo to pojęcie przestrzeni publicznej nie jest obce przynajmniej w naszym prawodawstwie. Aktualna ustawa o planowaniu i gospodarowaniu przestrzennym z 2003 r. tak definiuje „przeźren publiczną”: „obszar o szczególnym znaczeniu dla zaspokojenia potrzeb mieszkańców, poprawy jakości ich życia i sprzyjający nawiązywaniu kontaktów społecznych ze względu na jego położenie oraz cechy funkcjonalno-przeźrenne”. Ta sama ustawa nakłada obowiązek uwzględniania tak rozumianej przestrzeni publicznej w studiach i planach miejscowych. Niestety nie jest to przepis na tyle jasny, by mógł być skutecznie egzekwowany i przestrzegany. Brak w tej ustawie, jak pisze Andrzej Jędraszko, „ustalenia celów rzeczowych planowania” – nie wiadomo więc o jakie przeźrenie publiczne ustawodawcy chodzi. Wiadomo jednak, że chodzi o obszary wpływające na poprawę życia i sprzyjające nawiązywaniu kontaktów społecznych, czyli

tereny wskazywane przez ekspertów Unii: place, deptaki piesze, parki publiczne, w tym też całe kompleksy funkcjonalnych centrów usługowych, a także miejsca atrakcyjne ze względu na swoje położenie i przyciągające mieszkańców. Można też mówić o innych przestrzeniach, które są publiczne ze swej natury, jak ulice, parkingi czy hipermarkety, ale one nie spełniają wszystkich kryteriów, choć mają wyraźny wpływ na kształtowanie oblicza miasta oraz na jakość życia. A więc granica nie jest jasna; są przestrzenie półpubliczne. Tym niemniej parki i pasáže spełniają wszystkie określone kryteria.

Przejdę do tematu samego Lublina. Można postawić trzy tezy do naszej dyskusji. Po pierwsze: można stwierdzić, że rozwój i planowanie przestrzenne Lublina odzwierciedlają niemal wszystkie cechy współczesnej urbanizacji i rozwoju miast w Polsce. Cechy pozytywne i cechy negatywne – Lublin nie jest wyjątkiem. Po drugie: pozytywnym aspektem tego rozwoju jest ochrona i troska o przestrzeń publiczną placów i placyków miasta jakie zachowały się w jego historycznej tkance. Szczególną wartością i wyrazem traktowania współczesnego śródmieścia jest utworzenie deptaka na starszym odcinku Krakowskiego Przedmieścia oraz koncepcje dalszych prac rewaloryzacyjnych w tym rejonie. Cieszy coraz żywsza i piękniejsza przestrzeń Starego Miasta – to są osiągnięcia i pozytywy. Negatywnie natomiast należy ocenić działania planistyczne i realizacyjne w nowych obszarach miasta. W planach zagospodarowania przestrzennego miasta nie uwzględnia się, nawet w niezbędnym wymiarze, planu placów, deptaków czy chociażby ciągów pieszych. Przewidywane tam wcześniej takie zagospodarowanie zastępowane jest przez bardziej komercyjne funkcje, np. stacja paliw w centrum dzielnicy Czuby – praktycznie wyeliminowała możliwość jego racjonalnego, a zwłaszcza kulturowego rozwoju. Znane są tego przyczyny – to walka dwóch sił: z jednej strony siła pieniądza, a z drugiej – jakiejś idei, niestety w polskich warunkach dość niejasnej. Ale nawet tam, gdzie formalnie utrzymano racjonalny plan ośrodka, jak przy ul. Zana, w trakcie jego realizacji planowane przestrzenie publiczne zamieniono na funkcje komercyjne, np. parking przy Media Markt, zamiast planowanej tam centralnej przestrzeni publicznej ośrodka Zana. Lub ich nie zrealizowano, trwale deformując strukturę kulturalną tego centrum, np. nie zrealizowano płyty centralnego pasażu: zamiast pasażu są podjazdy do garaży, zamiast rozbudowy dzielnicowego domu kultury, szykuje się kolejny obiekt komercyjny tego centrum, a było ono unikalną szansą na promocję miasta, przez wiele lat planowane przez polskie i zagraniczne zespoły, m. in. MIT w Bostonie i chronione przed presją zabudowy sprzeczną z ideą. Dawało realną szansę podniesienia prestiżu Lublina. Obecnie pozostaje tylko pytanie czy nie da się choć w części tych planów uratować. Niepokoi też bezplanowość – brak aktualnego planu rozwoju współczesnego Śródmieścia, brak koncepcji wiodącej, pozostawianie wolnemu rynkowi i grze zysku materii tak cennej społecznie i kulturowo jaką jest Śródmieście to wyraz nieodpowiedzialności.

Wnioski. Wnioski będą przede wszystkim wynikiem dyskusji. Przedstawię tylko kilka problemów, pytań o jakich wdrożenie byłoby porozmawiać. Np. jak przekonać władze miasta, w tym radnych, tzn. mieszkańców Lublina, o potrzebie poważnego traktowania przestrzeni publicznej w planach i realizacji miasta? Jak opracowywać plany miasta, aby przestrzeń kulturowa, publiczna znajdowała w nich odpowiednie miejsce, mimo że nie stoi za nią pieniądze? Jak poprawić w tym zakresie dotychczasowe plany? Jak wskazać i chronić tereny o potencjalnych walorach przestrzeni publicznych, nim zostaną objęte formalną ochroną miejscowych planów przestrzennych? Jak skutecznie chronić obecne przestrzenie publiczne, jak je wzbogacać kulturowo, aby spełniały rosnące wymagania dojrzewającego cywilizacyjnie społeczeństwa? Jak wzmocnić potencjał twórczy planistów miejskich odpowiedzialnych za planowanie miasta i jak usprawnić mechanizmy

koordynacji realizacji, za którą odpowiada UM, aby podnieść jakość rozwoju miasta Lublina? Pytania te są oczywiście wyrazem wysokości wymagań stawianych miastu. Ale czy można je zaniżyć, gdy miasto ma ambicje i możliwości osiągnięcia rangi metropolii europejskiej, jednego z głównych miast-bram Unii Europejskiej na jej wschodniej granicy? A wymagania, o których mówimy nie wykraczają poza wymogi i oczekiwania Unii Europejskiej.

Skończyłem. Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że pisałem i mówiłem to wprowadzenie w dużym wewnętrznym napięciu, aby nie być źle zrozumianym. Te uwagi czy postulaty wynikają nie z chęci krytyki, ale z chęci wspólnego zabrania się do rzeczy niezmiernie trudnej. Ludzie tworzący plany, to są moi koledzy – wiem jak oni chcieliby to wprowadzać, ale nie mogą, bo toczy się gra – o tym już mówiłem – gra o pieniądze, o najmniejszą nawet działkę w dogodnym miejscu. Idea w starciu z pieniądzem przegrywa... Takie jest w tej chwili ustawienie, nieco wykoślawione, gospodarki przestrzennej w Polsce: system gospodarczy nie pomaga projektantom w niczym, są zdani na łaskę i niełaskę biznesmenów, a dla tych są niczym. Trochę większą rangę mają radni – jeżeli by chcieli. Ci z kolei – przepraszam, że tak powiem – nie rozumieją tego, nie rozumieją o co chodzi.

Elżbieta Kraszewska: Nawiązując do tego, o czym mówił pan Dylewski, chciałabym powiedzieć o pierwszej edycji ogólnopolskiego konkursu na najlepiej zorganizowaną przestrzeń publiczną. Pomysł na konkurs powstał w związku ze zrozumieniem ważnego problemu, o którym dziś dyskutujemy, ale wpłynął na to również fakt, że w trzech województwach Polski takie konkursy już funkcjonują: w woj. śląskim pod patronatem Marszałka Województwa, w woj. Pomorskim też pod patronatem Marszałka i w woj. Łódzkim, organizowanym przez tamtejszy oddz. TUP. Do ogólnopolskiego konkursu zgłoszono 18 prac, 16 z nich spełniało warunki. W tej pierwszej edycji nie było podziału na kategorie przestrzeni publicznych. A przestrzenie te są różnorakie. Jest przestrzeń wynikająca z definicji, ustalona w ustawie, ale jednocześnie ta definicja nie jest jednoznaczna – powszechnie się przyjmuje, że przestrzeń publiczną stanowi to wszystko, co stanowi własność publiczną i stąd często niezrozumienie ważkości tego problemu. Prace, które zyskały największe uznanie w naszym gremium: zarząd TUP-u, kolegium TUP-u i przedstawiciele trzech ministerstw: budownictwa, rozwoju regionalnego i kultury, to np. praca dotycząca dość kontrowersyjnego projektu – chodzi o manufakturę w Łodzi. Dawna fabryka Poznańskiego, coś co jest olbrzymią przestrzenią, ale czy w pełni zasługuje na miano przestrzeni publicznej? – to jest sprawa dyskusyjna i myślę, że dziś będziemy o tym mówić, gdyż jest to przestrzeń jak na naszą skalę np. Leclerc czy ośrodek, który powstaje przy ul. Lipowej – niby przestrzeń publiczna, ale czy ona spełnia wszystkie warunki ustawowe? Dominuje kwestia komercyjności, a czy jest to miejsce, które pozwala nawiązywać kontakty towarzyskie, jakąś więź? Z drugiej strony – w takich miejscach po prostu wypada bywać; kiedy w Warszawie otwarto Złote Tarasy, to pierwsi użytkownicy nie szli tam na zakupy, tylko dlatego, że jest to coś nowego, gdzie warto bywać – czyli w jakimś stopniu integruje i tym samym spełnia warunki definicji. Na drugim miejscu znalazła się praca zakładająca rewitalizację portów gdańskich – czyli zupełnie odmienna kategoria. A trzecie miejsce – najmniej klasyfikujące się do nazwania tego przestrzenią publiczną – modernizacja ciągu ulicznego w ulicy krajowej nr 4 pod Rzeszowem, czyli coś co przemierza się samochodem, powiedzmy z prędkością 70km/h, w związku z czym zupełnie nie wchodzi w definicję przestrzeni publicznej. Mimo to członkowie komisji uznali, że spełnia warunki konkursu. Pojawia się tu nowa kwestia, mianowicie można dyskutować na ile obecnie samochód, środki komunikacji zmieniają i kształtują nasze pojmowanie przestrzeni.

Poza tym były projekty i realizacje w Łowiczu, bardzo ciekawe zagospodarowanie dolin rzecznych – tego niekomercyjnego, a rekreacyjnego aspektu. Dziękuję i zapraszam do dyskusji.

Ewa Kipta: Chciałabym uzupełnić wprowadzenie pana Dylewskiego o refleksję historyczną w postrzeganiu przestrzeni publicznej. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z poważnym kryzysem psychologicznym w zawodzie. Dotychczasowa filozofia planowania przestrzennego była oparta na myśleniu specjalizacjami i na podziale przestrzeni na obszary specjalności. Tzn. przestrzeń publiczna była zdominowana przez inżynierów drogowych, przestrzeń działek, czyli ta do zabudowy kubaturowej była przeznaczona do zagospodarowania przez architektów, zielone plamki na planach miały być zagospodarowywane przez architektów zieleni, itd. Tego rodzaju myślenie strefami wpływów specjalizacji przyniosło negację przestrzeni – przestrzeń zaczęła być wynikowa. Etap, o którym pan mówił, że dominowało poczucie publiczności nad prywatnością, jednocześnie przyniósł negację przestrzeni publicznej; ona się rozmyła przez pewne założenie o myśleniu specjalnościami. Nie było zwrotu spinającego nad myśleniem przestrzennym i myśleniem celowym. Mieliśmy myślenie bryłą – to najczęstszy grzech architektów – natomiast bardzo mało myślenia przestrzennym. Przez to nie ma narzędzi określania morfologii tej przestrzeni publicznej. To, co udało się zrobić przy okazji dwóch konkursów: przypomnę konkurs na dolinę Czechówki z początku lat 90. i konkurs na Krakowskie Przedmieście z Placem Litewskim. Wznowiła się dyskusja. Konkurs na Czechówkę dawał jedną rzecz, która jest do wykorzystania nadal – całe spektrum możliwości na wykorzystanie doliny rzeki: od pewnej renaturalizacji, po bardzo ścisłą urbanizację. Było też kilka rozwiązań „pomiędzy”.

Kwestia jakościowego kształtowania przestrzeni publicznej – i to jest ten sukces Starego Miasta – sukces przestrzeni publicznych mierzy się ich popularnością: jeżeli ludzie na deptak przyszedli szybciej niż opuścili go ludzie z młotami pneumatycznymi, to już mówiło się o tym, że ma on szansę zaistnieć i jest to bardzo istotne. Na Starym Mieście ta popularność wyprzedza znacznie jego zewnętrzne „wymuskanie”. Trzeba się zastanowić czy to wymuskanie, w tym momencie tak bardzo oczekiwane przez popularne media, nie nastąpi kosztem naruszenia naturalnej, autentycznej tkanki tego miejsca. Sprowadza się nowe materiały, nowe kolory i wszystko jest w porządku, wygląda to coraz ładniej, ale dzieje się pewnym kosztem.

Obecne zainteresowanie przestrzeniami publicznymi wynika przede wszystkim z kryzysu dotychczasowego myślenia. Problemy, o których mówiłam na początku, przyniosły falę migracyjną osób najbardziej zamożnych na zewnątrz miasta – to odbija się na budżecie miejskim, z tym miasta wszędzie usiłują coś zrobić; zaczyna to być działanie zintegrowane, zależne od strategii rozwoju miasta. I tu mamy kłopot z metodą, gdyż urbaniści zamknęli się w takiej wieży z kości słoniowej i owszem – lubią rozmawiać między sobą, ale niekoniecznie dbają o to, by być zrozumianym. Ta sytuacja się zmienia, choć ciągle trzeba nad tym pracować.

Ważna jest też kwestia bezpieczeństwa publicznego – ono jest pierwszą ofiarą wszystkich negatywnych zjawisk zachodzących w przestrzeni publicznej. Nasze projekty robiliśmy z punktu widzenia dość pokornego (projekt na przestrzeń publiczną Starego Miasta). Bardzo ważne było ustalenie na samym początku wizji dojścia. Dzięki opracowaniu koncepcji w 1995 r. udało nam się po kolei realizować różne fragmenty tego projektu i udało nam się zdobyć finansowanie, to przemawia za zintegrowanym podejściem. Myślenie, które dominuje np. na spotkaniach ze spółdzielniami mieszkaniowymi: „dajcie nam pieniądze, to my sobie zrobimy cokolwiek” trzeba odwrócić: najpierw należy pokazać punkt dojścia. I urbaniści mogą: po pierwsze zaproponować ten

punkt dojścia, bo to jest ich obszar kompetencji, a po drugie zaproponować jego etapy, scenariusz zmian. To jest dobre narzędzie i dobra oferta dla decydentów, dobry punkt wyjścia do starań o dofinansowanie. Trzeba sobie zdać sprawę z tego atutu. Myślę, że będziemy mieli ogromne trudności z ucywilizowaniem przestrzeni osiedli. To jest przestrzeń, która powstała na zasadzie przepisu, niemalże kulinarnego, pt. „Jak to zrobić, żeby było dobrze?” i miała działać w sposób automatyczny. Nie zgodziłabym się z oczekiwaniem od ustaw doskonałych definicji przestrzeni publicznych. Definicja w obecnym kształcie pozostawia urbanistom, architektom i wszystkim uczestniczącym w procesie jej kształtowania, swobodę do definiowania – a ta jest bardzo ważna, gdyż pozwala wchodzić w lokalne uwarunkowania – to jest bardziej potrzebne niż precyzja prawna terminu, który potem zaczyna „dławić”, bo jest za sztywny. Za dużo oczekujemy od regulacji prawnych. Oczekujemy recepty na uniwersalne rozwiązania z gwarancją sukcesu, na procedury. A wszelkie ustawy instruktażowe mają jedną wadę: bardzo często nie zauważają wyjątków i przez to więcej problemów stwarzają niż rozwiązują. Po doświadczeniach kilku lat mogę powiedzieć, że ustawa, którą mamy jest na pewno daleka od doskonałości, ale kolejne zmiany dokonujące się wraz ze zmianami kadencji doprowadziły urbanistykę do tego, iż każda nowa ustawa jest lepsza niż zmiana czegokolwiek – to skandal. TUP powinien wreszcie zacząć wymagać stabilności prawnej, bo w ten sposób nie da się pracować. Nie da się wytworzyć warunków do powstania planów rozumianych jako umowa społeczna – a taki właśnie charakter powinny mieć. Nie ma podstaw do rozmów, do tworzenia planów na daleką przyszłość bez tej stabilności, nie można w nieskończoność wносить zmian do ustawy. Myślę, że to są podstawowe problemy dotyczące jakości przestrzeni. Gdy uporamy się z nimi, kolejne kwestie będą już rozwiązywane stopniowo.

Elżbieta Kraszewska: Zgadza się, to oczywiście poważny problem. Ale jeżeli mamy rzeczywistość taką jaką mamy, kiedy planowanie nie obejmuje większego obszaru, tylko mniejsze fragmenty pokrywa się planami miejscowymi, to nie ma mowy, aby myśleć o jakości tej przestrzeni – jest to bardzo trudne. Niekoniecznie jest to winą urbanistów, ponieważ urbaniści, tam gdzie tylko mogą, mówią o konieczności.

Ewa Kipta: Nie zgodziłabym się z tą opinią. Uważam, że dążenie do pełnego pokrywania w szeroko zakrojonych planach jest sprzeczne z możliwością regulowania jakości przestrzeni. Wydaje mi się, że tego się jednak nie da pogodzić.

Elżbieta Kraszewska: Jeżeli działa to w ten sposób, że w zagospodarowaniu np. Lublina wszystko idzie na żywioł, elity uciekają za miasto, tworzą się minisypialnie: albo są to osiedla ogrodzone, rodzaje nowych gett, do których nie każdy może wejść, albo są to obszary sypialne: ludzie pracują gdzie indziej, dzieci do szkoły chodzą gdzie indziej, zakupy robi się gdzie indziej i w związku z tym są to tylko noclegownie, więc nie ma tam miejsca na przestrzenie publiczne, o których mówimy. Owszem są ulice, bo trzeba dojechać, ale czy są one przestrzenią, która integruje, sprzyja nawiązaniu kontaktów, utożsamia? – nie. Dlatego, jeśli wszystko będzie szło na żywioł i planowanie będzie polegało na obejmowaniu konkretnych kawałków, aby komuś umożliwić wybudowanie szeregu domów, to nie będzie to sprzyjało powstawaniu jakości tej przestrzeni. Będzie zupełnym zaprzeczeniem. I dlatego sądzę, że należałoby mówić o planowaniu w szerszym kontekście.

Ewa Kipta: Tak, w tym sensie, że kluczowe jest nie tyle uruchamianie nowych terenów, ile zajęcie się już istniejącymi. Czyli: problem polityki mieszkaniowej, którego nasze państwo unika jak ognia

od 17 lat. A jeśli się nie poprawi istniejących zasobów, to wszyscy będą dążyli do ich opuszczenia, bo będzie to główna ścieżka np. do awansu społecznego. Ale to jest sprzeczne z charakterem miejskim, antyurbanistyczne. Druga rzecz, nadal istniejąca, to „technokratyczne” pojmowanie tej przestrzeni – współcześnie, w nowych obszarach, nie kształtuje się w ogóle nowoczesnych ulic. Mamy trasy albo dojazdy. Nie ma ulic, o placach już nie wspomnę. To co jest trasą zieloną, jest zaprzeczeniem przestrzeni miejskiej. To jest infrastruktura techniczna, która kroi przestrzeń miejską, która dzieli i to jest wynikiem segregacji specjalnościowej. Te problemy sami stwarzamy na bieżąco.

Marcin Skrzypek: Mnie, jako zwykłemu mieszkańcowi i użytkownikowi jest właściwie wszystko jedno czy mówimy o planowaniu wielkoskalowym, czy małoskalowym, liczy się coś innego. Przeniosłem się na Sławinek – tam miejscem publicznym jest plac zabaw za kościołem, gdzie można spotkać matki i ojców, drugie miejsce, gdzie można się spotkać, to teren przy dwóch sklepach usytuowanych na poziomie garażu i piwnicy. Według mnie, to jest wynaturzenie. Czy nie można zaprojektować kilku ulic, tak, żeby miały jakieś miejsce wspólne, gdzie nie byłoby samochodów, byłyby dwa sklepy i można byłoby tam mieszkać? Czy np. cała północna część Lublina – dla mnie to jest fragment miasta, który można by zaprojektować. On jest rzeczywiście zagospodarowywany przez kolejnych deweloperów w jakichś niedużych odcinkach, a nie ma tam żadnej przestrzeni publicznej – jedyną wspólną przestrzenią jest przestrzeń dla samochodów. Centrum między ul. Orkana i Alejami Kraśnickimi – jego centralną częścią jest parking dla samochodów. Jest to zupełnie inną jakością, innym sposobem myślenia i planowania niż np. budowane Felicity, gdzie centralnym miejscem będzie plac, na którym ludzie będą mogli siedzieć na ławkach, itd. A tu – wysiada się z samochodu, wchodzi się do sklepu, przechodzi się do drugiego sklepu, który jest po przeciwnej stronie jeziora z dachów samochodów. Wystarczyłoby tę samą przestrzeń ułożyć np. gwiazdźście, inaczej. Nakazać ludziom, którzy budowali te supermarkety, by nie robili kręgu, by zrobili to z jakimś miejscem wspólnym. Myślę, że nie jest to problem skali, tylko problem dodania elementu wspólnotowego do myślenia o mieście.

Deptak – on już nie jest miejscem publicznym – został tam wąski strumyczek, przez który ludzie się przeciskają i całe dwa pasy zajęte przez kawiarnie. Podobnie jest ze Starym Miastem – niedługo cała ul. Grodzka będzie zabudowana ogródkami piwnymi i to też jest jakimś wynaturzeniem. Częściowo to kwestia przyzwyczajenia, częściowo gra rynkowa, ale ja jako mieszkaniec nie chcę się zastanawiać dlaczego tak jest, chciałem dorzucić kilka konkretnych tematów z Lublina.

Elżbieta Kraszewska: To jest właśnie zjawisko komercjalizacji przestrzeni, o której była mowa, coś, co coraz bardziej będzie zaprzeczeniem miasta, co wszystkim zaczyna doskwierać. Nie ma dziś pomysłu, w jaki sposób powstrzymać to zjawisko.

Stanisław Fic: Dziękuję bardzo za zaproszenie. Chciałbym wziąć sobie do serca te wszystkie problemy, o których tutaj była mowa, szczególnie te dotyczące samego miasta Lublina, wiążące się z komercyjnym spojrzeniem na miejsca, w których miały być ukształtowane przestrzenie publiczne. Przypomnę pewną rzecz, otóż kilka miesięcy temu ukazał się w „Kurierze Lubelskim” ranking miejsc, w których mieszka się najlepiej. Okazało się, że bardzo źle wygląda sytuacja na nowych osiedlach: Botanik, Willowa. Dlaczego tak się dzieje? – brakuje tam właśnie pewnego kompleksowego rozwiązania. Natomiast mieszkańcy pozytywnie ocenili LSM – osiedle Słowackiego, Mickiewicza, gdzie mają swoje miejsca, przestrzenie do spotkań, odpowiednią ilość

sklepów, itd.

Bardzo ważne i warte podkreślenia jest spojrzenie na Śródmieście. Istotnym problemem jest brak planu, który chcielibyśmy jak najszybciej zacząć opracowywać.

Jest to moje pierwsze spotkanie z państwem, mam nadzieję, że nie ostatnie. Sprawa jest dosyć trudna i złożona. W samym kształtowaniu przestrzeni są różne aspekty i różne interesy, trzeba starać, aby w tych obszarach zaistnieć. Myślę, że wszystkie te uwagi, wnioski trafią do Ratusza i wspólnie będziemy dążyć do tego, by Lublin stawał się coraz piękniejszy i by potrzebne miejsca publiczne były uwzględniane. Dziękuję.

Andrzej Lim: Jako członek zespołu opracowującego pierwszy plan dla miasta Lublina, chciałem przypomnieć, że plan z 1958 r. zawierał planszę precyzująca wszystkie ciągi piesze w mieście. Były one zaprojektowane w ten sposób, by oprócz układu komunikacyjnego, wszystkie obszary miejskie były powiązane ciągami pieszymi. Nie przy jezdniach, ale samodzielnie – o ile to było możliwe. Struktura miasta była ukształtowana ze Śródmieścia i z dzielnic dookoła niego. Każda dzielnica miała wyznaczone centrum usługowe, które projektowano głównie w oparciu o ciągi piesze, funkcjonalne; były one wielofunkcyjne. Natomiast połączenie centrum miasta z dzielnicami odbywało się już ciągami bardziej ekstensywnymi, ciągami wśród zieleni. Miało to swoją strukturę przestrzenną. Oczywiście głównym skupiskiem ciągów pieszych powinno być Śródmieście, a komunikacja powinna być zniesiona na obrzeża tego terenu. Powiem tylko, że od pomysłu wyznaczenia ciągu pieszego wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, czyli deptaka, do realizacji upłynęło 40 lat! A i tak zrobiono to na siłę, bo nie zrobiono układu komunikacyjnego, który obsługiwałby Śródmieście z wyłączeniem ruchu kołowego z Krakowskiego Przedmieścia. Dlatego teraz tak źle się przejeżdża przez ten teren, nie ma relacji północ-południe, przejeżdża się przez ulicę Królewską.

Chciałbym się przyznać do kilku porażek w starciach z trudnościami, które się pojawiały. W konkursie na deptak zaproponowaliśmy przejście pod Pl. Litewskim. Tam była już dość korzystna sytuacja, był wykop na ul. Królewskiej, cała ulica była rozkopana. Trzeba byłoby tylko przekopać jeszcze trochę dalej, położyć niewielką płytę i uzyskałoby się bezkolizyjny ciąg pieszy od Krakowskiego Przedmieścia przez Stare Miasto do zamku – bez konieczności ustępowania jadącym pojazdom. Jednocześnie uzyskałby Lublin przestrzeń publiczną: „bombonierkę” Pl. Łokietka, gdzie mogłyby się odbywać różne imprezy. Bo ciąg pieszy, to nie jest tylko picie piwa czy chodzenie, powinny się tu odbywać – jak przewiduje ustawa – spotkania, imprezy, itp. Mogą być organizowane np. – to już mój pomysł – przyciągające turystów pokazy dojazdu wdowy i czarta karetą do trybunału i sprawa przeciwko wdowie, mogą występować chóry na Krakowskim Przedmieściu, tylko trzeba zorganizować odpowiednie miejsce. Jest organizowana szopka i śpiewane są kolędy, ale co za tego, kiedy śpiew jest zagłuszany przez jadące samochody. Druga sprawa, druga porażka to ul. Filaretów. Inżynier Sierpowski projektował ul. Filaretów. Nie było jeszcze centrum na Zana, nie było precyzyjnych koncepcji i on przyszedł z projektem ul. Filaretów. Opiniowałem ten projekt. Powiedziałem, że trzeba obniżyć ulicę i zrobić w wykopie do ronda, z ul. Zana. On się odwołał do inż. Lewaka, który był głównym architektem. Ten stwierdził, że rzeczywiście, po co kopać głębiej skoro ulica może sobie przejść spokojnie. I teraz konsekwencje są takie, że np. nie można było zrobić przejścia dla pieszych z osiedla Piastowskiego do centrum na Zana kładką, bo tam jest już za wysoko. Kładka jest nie w tym miejscu, gdzie być powinna, nikt po niej nie chodzi, bo trzeba krążyć, schodzić z ciągu pieszego w bok, później jeszcze

gdzieś w krzaki – ciąg pieszy na ul. Zana został w ten sposób wyeliminowany. Częściowo został zachowany koło ZUS-u, ale cóż z tego, skoro ZUS ogrodził się siatką i trzeba iść dookoła. W Lublinie jest dużo miejsc, przestrzeni publicznych do zrobienia, ale wszędzie napotykamy trudności. Ponadto kto ma to projektować? Dla innych inwestycji są projektanci, inwestorzy, którzy za projekty płacą. Jest miejsce na plac przed naszą niedokończoną operą, ale nie ma projektu tego placu, nikt się nawet o niego nie zapytał... Są propozycje pomników na ten plac, ale nie ma ich gdzie ustawić, bo nie ma placu. Jest Pl. Dworcowy i ul. 1-go Maja, gdzie również jest ciąg pieszy - można by zrobić deptak na tej ulicy, który byłby wizytówką dla przyjeżdżających pociągami z Polski i z zagranicy; zapewne spowodowałyby też wzrost wartości przestrzeni handlowej wokół ciągu pieszego. Może zaczęłyby się modernizacje tamtejszych lokali. Możliwości jest naprawdę dużo. Może państwo zgłosicie jakieś swoje propozycje.

Zuzanna Podgórska (Architektura Krajobrazu KUL): Piszę pracę magisterską nt.: *Wartości artystyczne i estetyczne w przestrzeni publicznej Lublina*. Dlatego Lublina, że tu akurat żyję, tu zaczęłam mieszkać w bloku w dużym mieście i tu zaczęły mnie dotykać problemy miejskie. Chciałabym zaznaczyć ważną rolę naszą, architektów krajobrazu – choć jest nas jeszcze mało, bo to młody kierunek, dopiero zaczyna się rozwijać. Ale my jesteśmy i projekty, o których pan wspomniał, np. na plac przy teatrze, robimy na studiach. Natomiast wspomniana segregacja specjalności, problem tego, dlaczego jeszcze nie zaistnieliśmy – sądzę, że byłibyśmy łącznikiem w tej przestrzeni publicznej i mamy na tym polu dużo do powiedzenia. Tymczasem architekt krajobrazu postrzega się jako projektanta ogródków – co mnie bardzo złości – bo owszem, większość absolwentów idzie właśnie w kierunku małych przestrzeni, ale dla mnie architektura krajobrazu to przede wszystkim projektowanie dużych przestrzeni miejskich, parków, itp. Zajmowaliśmy się na studiach planami osiedla Piastowskiego, czy innych dużych przestrzeni. Nie ma nas, ponieważ jeszcze nie mamy żadnych uprawnień, praktycznie nie mamy prawa głosu. Dlatego jestem wdzięczna za to spotkanie i za to, że tu mogłam się wypowiedzieć, bo niestety rzadko jesteśmy wysłuchiwani.

Elżbieta Kraszewska: Ja może uzupełnię pani wypowiedź, ponieważ projektowanie, zajmowanie się przestrzenią, to nie jest projektowanie przez pewną specjalizację. To, o czym mówiła pani Ewa: na tym polega problem, że poszczególnymi kawałkami zajmowali się oddzielni specjaliści. Planowanie przestrzeni powinno obejmować wszystkie branże i żeby podnosić jakość powinniśmy wszyscy współpracować.

Tadeusz Chmielewski: Do kilku wypowiedzi chciałabym dopiąć swoją opinię. Otóż do referatu wstępnego: zostało powiedziane bardzo dużo, ale nie wszystko. Przede wszystkim zostało ograniczone pojęcie przestrzeni publicznej. Zawężono je do obszaru, powierzchni, a więc przedmiotu działań inwestycyjnych i zagospodarowania. A to pojęcie wielowymiarowe, zwłaszcza jeśli się mówi o przestrzeni kulturowej. I to, o czym mówił prezydent, dlaczego na jednym osiedlu mieszka się dobrze, lepiej, a na innym gorzej? Bo ono zostało zaprojektowane z myślą o użytkowniku, zawiera przestrzeń kulturową. Poza tym cały czas mówimy o ludziach pełnosprawnych i dorosłych, zaś mieszkańcy miasta są zróżnicowani. W planie miasta bierze się pod uwagę wszystkie grupy wiekowe i wszystkie aspekty. I tu pani Ewa nie ma racji mówiąc, że projektowanie jest wycinkowe, bo to jest gwałcenie planowania, a zasadą w urbanistyce jest, że przy planowaniu muszą być trzy osoby o różnych specjalnościach. Robiąc koreferat do planu

Białegostoku, miałem dziewięciu kolegów do pomocy.

Pani Ewa wypowiadała się bardzo emocjonalnie, a to ułatwia mi wskazanie elementów, z którymi się nie zgadzam. Nie zgadzam się z tym, że nie można planować dużej powierzchni; np. Holandia jest pokryta w całości planami różnej skali: i wielkoprzestrzennej, i średniej, i małej. Tam jest to aż przesadzone, wygląda tak, jakby każda trawka wiedziała, w którą stronę ma rosnąć. U nas też tak było, ale obecna ustawa zburzyła jedność planowania – zaczęła dominować idea działki prywatnej. Skutek jest taki, jaki obserwujemy. Co do ścisłości prawnej, to zgadzam się z panią Ewą. Przyczyną tak wielu porażek w urbanistyce jest to, że ustawowo, a właściwie nakazowo, chce się regulować szczegóły. Tymczasem w prawie brakuje skutecznej ochrony, bo są duże siły zainteresowane działaniem, zmienianiem, a niewielkie są siły do ochrony. Dlatego państwo powinno chronić przestrzeń społeczną, publiczną. Tego wymogu obecna ustawa nie uwzględnia. Mógłbym jeszcze mówić, ale może jednak już wystarczy.

Ewa Kipta: Odpowiem, bo chyba się nie zrozumieliśmy. Chodziło mi o to, że podział na specjalności właśnie zablokował organizację przestrzeni. Na to cierpi też architektura – zespoły projektowe zbierają się dwa razy: raz żeby podzielić robotę, a drugi raz, żeby podzielić pieniądze – to jest skandal metodologiczny! Wina leży po stronie projektantów. Ale jest jeszcze druga strona – strona artykułująca wymagania i ta strona jest „pozbawiona języka” - nie mamy języka do rozmów o przestrzeni. Jest ewentualnie język polegający na wyłożeniu swoich racji, na obronie swojego, a nie ma kto artykułować interesów publicznych. Np. Marcin Skrzypek próbuje stworzyć grupę artykułującą interesy cyklistów, ale to są same początki, do których potrzebujemy państwa, nawet jeśli brakuje państwu doświadczenia – w tym momencie jest to walor, ponieważ używacie państwo normalniejszego języka, bez rutyny, bez skażeń. Trzeba trochę pokory i przyznania się do tego, że pewne rzeczy nam nie wyszły. Teraz pojawiają się możliwości i dlatego najwyższy czas zmienić sposób działania. Ja też uważam, że nie należy przesadzać z dominacją planowania przestrzennego w układzie do decydowania o tym, w którym kierunku, czy może w jaki sposób, to ma iść. Jest kwestia wielu zintegrowanych podejść, w których planowanie przestrzenne jest jednym z aspektów, podobnie jak ekonomia i kwestie społeczne. Mamy również potworny problem z bazą danych statystycznych. To powoduje, że nasza urbanistyka jest uprawiana na grząskim gruncie szczątkowej wiedzy.

Elżbieta Kraszewska: Ale przy pełnej akceptacji polskiego prawa...

Ewa Kipta: Tak. Polskie prawo na to pozwala, a nawet to wywołuje.

Elżbieta Kraszewska: Pan Chmielewski mówił o planowaniu zespołowym – jeszcze kilka lat temu było nie do pomyślenia, żeby zajmowała się tym jedna osoba, była jakaś reguła. W tej chwili jest ustawa o zamówieniach publicznych, ustawa o samorządach zawodowych, która pozwala na to, że jedna osoba, która w jakiś sposób uzyskała przynależność do odpowiedniej listy zawodowej, daje najniższą cenę za opracowania i decyduje o jakości naszej przestrzeni.

Elżbieta Mącik: My wszystko rozpatrujemy bardzo teoretycznie. Nie ma koncepcji, żeby miasto wykupywało na własność pewne grunty, które później wpłyną na realizację planu zagospodarowania. Miasto sprzedaje pewne grunty, które powinny być właśnie zagospodarowane inaczej, niż w jakichś pojedynczych realizacjach. Osiedla LSM-u były tak zagospodarowywane, ponieważ to nie były grunty spółdzielni.

Ewa Kipta: Przepraszam, to nie było tak. Osiedla LSM-u powstawały w wyjątkowej sytuacji umysłowej, były realizowane w trybie pilotażu. Następne osiedla robiono na tych samych zasadach, ale robiono je zupełnie źle, np. os. Konopnickiej, Prusa, itd.

Euzebiusz Maj: Na zakończenie chciałbym się odnieść do tez pana docenta Dylewskiego. Muszę powiedzieć, że jest to manifest niezwyklej wagi, który po raz kolejny nie dociera do tych, do których jest adresowany, czyli do władz miasta, do decydentów. W referacie zostały poruszone ważne kwestie, problemy, które wymagają rozwinięcia i prezentacji na kolejnych spotkaniach. Tu apelowałbym zarówno do Teatru NN, jak i do TUP-u o zintensyfikowanie tych debat publicznych w różnym gronie. Miasto stoi przed zadaniami, które mogą zakończyć się wielkim sukcesem, ale również wielką klapą. Mam na myśli starania o miano Europejskiej Stolicy Kultury czy inne wyzwania, które wymagają wysiłku na miarę renesansu – pan docent użył dziś tego określenia: renesans. Jakiś czas temu, na debacie, próbowałem przekazać władzom miasta ten termin, to pojęcie, które dla problemów lubelskich, przestrzeni publicznej, wizji rozwoju miasta jest pojęciem wręcz kluczowym. Renesans, odrodzenie, humanizm, relacje społeczne, wielokierunkowość, spójność, harmonia działania i jednocześnie tytaniczna praca, to są elementy niezbędne do powodzenia każdej misji, a szczególnie tego najbliższego, bogato zarysowanego planu rozwoju miasta, który wymaga ogromnej pracy, organizacji, bo zagrożenia są wielkie. Pan docent apeluje z wielką kulturą, ale i emocją do władz miasta; odwołał się również do LSM-u, który jest przykładem wielkich działań organizacyjnych, społecznych i jednocześnie sukcesem. Ale ten sukces został osiągnięty tylko dlatego, że spontanicznie została wprowadzona organizacja wręcz renesansowa. Otóż skupił się zespół ludzi z wizją, z programem – tu w Lublinie, na miarę renesansu naszego, lubelskiego. I ten sukces promował Lublin przez wiele dziesiątków lat. Taki, tylko taki sposób działania powinien być dla władz miasta przykładem i wzorem jak można coś osiągnąć. Byłem świadkiem tych działań i to była tytaniczna praca wielu ludzi, którzy znaleźli wspólny język i w efekcie nastąpił ten wielki sukces społeczny, osiągnięto pozapartyjną realizację zamierzeń. Zagrożenia: startujemy do konkursu i współczesnymi realizacjami – galerie typu Plaza, zapowiadany Yellow Park itp. – próbujemy udowodnić, że Lublin postępuje do przodu i modernizuje się. Moim zdaniem jest to wizja koszmarna, ponieważ jest to wizja utraty tych wartości, dzięki którym Lublin istnieje w kraju, a nawet w tej Europie. To jest ogromnym zagrożeniem. Wiemy, że ten obszar – dolina trzech rzek, wzgórze, krajobraz, który zdecydowanie może rywalizować z miastami o bogatej tradycji i największej urodzie – ulegnie wkrótce deformacjom. Tak jak deformacjom uległ LSM. Przestrzeń jeszcze nie zniszczona będzie się degradowała. Jak wspomniał pan Dylewski, idee realizuje się spontanicznie, żywiołowo, ale przegrywają wartości miasta, przegrywają z komercją. Jest ona u nas tak silna, że obawiam się o wynik rywalizacji o Europejską Stolicę Kultury. Obecnie mamy jeszcze wartości mogące rywalizować z wielkimi miastami, natomiast boję się, że z chwilą kiedy Lublin udowodni, że potrafi inwestować w galerie, przegramy to, co mamy. Odwołam się do przykładów ogólnopolskich świadczących o tym, że Lublin jest normalnym odzwierciedleniem tego, co się dzieje: Kraków – zdaniem specjalistów jest na najlepszej drodze do utraty swojej marki, swojego kulturowego dziedzictwa, kodu kulturowego skoro godzi się na budowę wielkich galerii, na zabudowę historycznych przestrzeni. Podobnie było z Dreznem, gdzie też niewiele brakowało, by miasto o statusie światowego dziedzictwa kultury utraciło to, co najcenniejsze: budowano tam nową inwestycję przeprawowo-mostową i tylko wielka presja

spowodowała, że znaleziono inne rozwiązanie.

Wracając do najnowszych osiągnięć Lublina, do pomnika historii miasta. Okazuje się, że Lublin ma jeszcze tyle wartości, iż wystarczyły one do wystawienia pomnika historii, przynajmniej część miasta. Historia, przeszłość miasta jest tym produktem, który też daje się zamienić na komercję, na pieniądze. One pozwolą uzyskać fundusze, ale te fundusze nie powinny przecież wywoływać takich inwestycji, które będą jednocześnie zagładą dla historycznych przestrzeni. Tu znów apeluję do Teatru NN, którego działalność trudno przecenić, by wspólnie z innymi środowiskami podjął ten temat zagrożeń. Mieszkam w Lublinie i czuję, że droga, wyznaczona przez UM, strategia zabudowywania, jest drogą donikąd. Dziękuję.

Ewa Kipta: Chciałam jeszcze zwrócić uwagę na zagadnienie, które wymaga chyba osobnego tematu: zagadnienie skali. To, co jest właśnie atutem LSM-u, a co już się nie powtórzyło w innych osiedlach, to przede wszystkim różnica skali. Procedura była prawie ta sama. Teraz mamy ślepą wiarę w procedury, wierzymy w procedury tak, jak w księgach fantasy wierzy się w zaklęcia. Zastępują nam zaklinanie rzeczywistości, ale nie jest prawdą, że działają jak zaklęcia. Nie gwarantują zmiany rzeczywistości, rozwiązania ani sukcesu. W momencie, kiedy mamy do czynienia z dużą skalą inwestycji typu Plaza czy np. inwestycja pt. Przebudowa kwartału Starego Miasta w Zamościu na hotel – wydawałoby się, że to historia z happy endem dla tkanki historycznej miasta. Ale proszę sobie wyobrazić, co to będzie jak temu hotelowi się nie uda i splajtuje. Tylko taka mała ewentualność dla tkanki, która przetrwała 500 lat i powinna przetrwać 500 następnych. To kwestia myślenia, by tak tworzyć plany, żeby miały one swoje uziarnienie pozwalające na dobrą realizację w małej skali. Niestety nawet pieniądze unijne są serwowane w dużych skalach i inne rzeczy też skupiają się na dużych skalach. Zadaniem miasta powinno być takie robienie projektów unijnych, by można było zrobić z jednego projektu unijnego nie jedną wielką chałupę, a kilka małych. I jest to możliwe, tylko trzeba zadać sobie trud. Biurokraci zawsze będą woleli duże, dziennikarze idą zaraz za nimi, też lubią wielkie rzeczy, wielką skalę i te wszystkie pompy. Trzeba popracować nad opinią. Zacząć budować pewną nieufność do dużej skali. Dziękuję.

?: Była mowa o pewnych realizacjach w mieście, które mogą stanowić jakieś zagrożenie. Wiem z prasy, że miasto ma zamiar budować w miejscu boiska na Al. Zygmuntowskich stadion na około 16-20 tys. Widzów. Stadion to też przestrzeń publiczna, nie widzę tam miejsca na taki obiekt, chyba, że ktoś znajdzie jakieś genialne rozwiązanie. Nie ma parkingów, dojazdów, jak skumulują się imprezy na targach i na stadionie, to nie wiadomo gdzie te samochody się pomieszczą. Chyba w Bystrzycy...

Zuzanna Podgórska: Ja jeszcze chciałabym powiedzieć o tożsamości Lublina, która jest jednak wyjątkowa. Pochodzę z Mazowsza, z okolic Radomia – o kulturze Radomia wolę nie mówić, natomiast urzekła mnie kultura Lublina, ludzie i patrzyłabym optymistycznie na to, co będzie się tu działo. Skoro rodzi się tyle nowych pomysłów i skoro jest jakiś protest przeciwko niszczeniu przestrzeni publicznej, to myślę, że nie będzie tak źle.

Romuald Dylewski: Jako prezes oddziału TUP-u chciałbym wyrazić radość, że dzięki współpracy z Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN” możemy organizować tego typu spotkania. Uważam, że przez ostatnie lata brakowało nam dyskusji. Mówienia – w sposób mądry albo głupi – ale mówienia o tym co się dzieje. Zwykle w każdej uwadze tkwi jakaś autentycznie podpatrzona prawda i dlatego bardzo się cieszę, że dzięki „Bramie” spotkanie jest rozszerzone o takie gremium. Oczekujemy, że

na kolejnych spotkaniach coraz więcej osób będzie zabierało głos, liczymy na państwa głosy. Rzeczywiście to, co mówiłem, to była synteza syntezy. Problem jest gigantyczny i niejasny, wobec tego trudno o nim mówić. Boję się najbardziej rozmydlenia pojęcia „przestrzeń publiczna” – jeżeli je rozmydlimy, to nie mamy żadnych szans na wygraną w sporze z pieniędzmi. Ta walka będzie się toczyć o każdy plac. Oczywiście, że nie możemy wypunktować, że to jest przestrzeń publiczna, a to nie. Trzeba tak sprecyzować definicję, żeby można było się na niej oprzeć. Np. obecne sformułowanie, że przestrzeń publiczna powinna stwarzać warunki do kontaktów społecznych jest dla mnie wyraźnym wskaźnikiem, że np. Eclerc, nastawiony na biznes jest przestrzenią, ale nie jest przestrzenią publiczną w znaczeniu tej definicji – wobec tego jest częściowo przestrzenią publiczną, podobnie jak współczesna ulica – ul. Grodzka jest przestrzenią publiczną, a nie jest nią ulica, gdzie z dużą prędkością, w dużym natężeniu jeżdżą samochody – tu kontakt społeczny jest co najwyżej kiedy zdarzy się stłuczka. Granica między przestrzenią publiczną, a nieprzestrzenią publiczną jest płynna lecz nie należy rozmywać samego pojęcia, żeby były szanse na jego obronę.

Skąd się bierze przestrzeń publiczna czy plac, pieszcy? Ona nie wzięła się z tego, że kilku jakichś guru usiadło i wymyśliło. Ona się wzięła z naturalnej potrzeby; na Zachodzie ludzie odpływają już z miast, sprzedają mieszkania i miasta pustoszeją. Ludzie – złudnie – szukają szczęścia w dalekich peryferiach. A miasta, które są ośrodkami, kolebkami kultury upadają. Eksperti unijni głowią się teraz nad tym, jak zatrzymać ten trend, trend, który uważają za patologiczny. Patrzą więc, co przyciąga do miasta. A przyciągają np. rynki, jak rynek w Kazimierzu – chętnie mieszkam w tamtejszym domu architekta, bo cieszy mnie widok na rynek, on przyciąga też innych, przyciąga piękna architektura. Ta przestrzeń publiczna jako wartość sama w sobie zaczęła być problemem. Trzeba ją traktować jak narzędzie do ratowania współczesnego miasta. Problemem, który się wiąże z tą trudną, a istotną potrzebą, jest to, że ludzie nie chcą przeznaczyć na przestrzeń publiczną ani złotych, a jednocześnie z powodu jej braku uciekają z miast. To są te trendy i te przyczyny.

Problem w tym, że nieuchwytnie pojęcie przestrzeni publicznej jest dostrzegane w sposób bardziej precyzyjny przez ludzi, którzy są dojrzałsi w rozwoju ogólnie cywilizacyjnym, którzy przeżyli już urbanizację, którzy szukają czegoś czego im tu brak. Dlatego jest taka różnica pomiędzy jakością potrzeb ludzi na zachodzie Europy, a jakością potrzeb np. w Lublinie. Radni lubelscy prymitywnie patrzą na miasto. To są rozsądni, rzeczowi ludzie tylko po prostu myślą kategoriami ludzi na etapie rozwoju polskiego, lubelskiego, a nie angielskiego, francuskiego, holenderskiego. Stąd ta różnica: tam pojęcie przestrzeni publicznej, dobro publiczne coś znaczy, u nas prawie nic. To jest ogromny konflikt dla urbanistów, ponieważ ich zawód polega na tym, że mają zarysowywać struktury, które będą właściwie wykorzystywane dopiero za x lat: może za 10-20. Powinni tworzyć struktury wg standardów ludzi za 20 lat.

Ktoś wspomniał o dobru publicznym – przestrzeń publiczna jest częścią szerszego pojęcia: dobro publiczne. I ono niestety obecnie w Polsce zostało „wylane z kąpielą” i z trudem do tego teraz wracamy.

Brak gruntów miejskich – to również ogromny problem. Przed wojną gminy prześcigały się w tym kto ile gruntów kupił, u nas prześcigają się w tym, kto ile sprzedał. To nasza rzeczywistość i wyraz innego poziomu rozwoju, na którym jest niestety większość, no i decydenci.

Faktycznie biznes wkracza w każde miejsce, które go interesuje. Pan Skrzypek wspomniał o tym, że deptaki przestają być deptakami. Tak, skoro coraz mniejsza jest przestrzeń wolna, a coraz większą część zajmują ogródki, to jest już w tym coś niepokojącego.

Niepokojące jest też to, co dzieje się w Krakowie, co zaczyna być widoczne w Lublinie, czyli

budowanie monstrualnych galerii. Znow można dyskutować czy to jest, czy nie jest przestrzeń publiczna. To jest coś z czego człowiek – przynajmniej ja – próbuje uciec, bo czuje się zagubiony jak w labiryncie. Współczuję Krakowowi i Polsce, że coś takiego się wydarzyło. Jest tam coś takiego, co daje się ludziom z jednej strony tradycję, sklepy, a nagle pojawia się taki wtórnik, powtórzony w ogromnej, monstrualnej masie. To są nie tylko moje odczucia, ale i samych krakowian, tych bardziej światłych. Są miasta, np. Gdynia, które nie dopuszczają do takich działań. W Warszawie też powstały Złote Tarasy – Warszawa jest może mniej cenna w swej tkance, otoczenie jest podobne do samych złotych tarasów i może dlatego tak nie razi, ale mimo wszystko wrażenie jest podobne jak w Krakowie.

Ewa Kipta: Konieczna jest edukacja przestrzenna – w dowolnej formie, w dowolnych środowiskach, w dużych ilościach. To nie jest prawda, że trzeba mieć to w genach, bo np. kraje skandynawskie mają podobny udział myślenia wiejskiego, czyli przedurbanistycznego, jak u nas. A jednak mają inny poziom edukacji społecznej. Edukację trzeba prowadzić od przedszkola.

Romuald Dylewski: Dziękuję państwu bardzo. My ze swej strony będziemy robić co w naszej mocy, będziemy się też spotykać i rozmawiać. Zapraszam na następne spotkanie.